

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.



Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus.

AVE!

(Z cyklu „Madonny Drezdeńskiej“).

Zjawiskowa Twoja głowa
 Od porannych zórz różowa,
 Na błękitów tonie tle —
 A skrzydlatych duchów roje
 Leci tuż pod stopy Twoje —
 A od skrzydeł tych zamieci —
 Od aniołków tych oddechu —
 Rozdyszanych od pośpiechu —
 Twoja szata, płaszcz Twój leci
 I zasłona wydmuchnięta
 W przezroczystej niebios mgłę; —
 I tak płyniesz wniebowzięta
 Z swą dzieciną boską, nagą,
 Z tą biblijną twą powagą,
 Z tą królewską równowagą,
 Którą daje boskie słowo
 W życie własne już wcielone —
 I ofiarą potwierdzone,
 Przecierpiane sercem, głową,
 W ducha przemienione moc, —
 A gdy płyniesz tak błękitem —
 Ponad życia mętem, zgrzytem —
 Ponad walk doczesnych noc —
 Ludzie patrząc za twą głową
 Tak cudownie zjawiskową,
 Pozdrawiają cię z zachwytem —
 Ave! o niebios Królowo!

Lilią kwitną twoje skronie —
 Wstydlivością twoje lica —
 W oczach dumna błyskawica
 Pozaziemskim ogniem płonie
 Stopą ledwie tykasz chmur; —
 W duszy twojej jako dyament
 Leży wielka tajemnica,
 Którą stary już testament
 Złożył w swych proroków łonie
 I powtórzył przez ich chór.
 Więc nad świat ten, mętny, dymny,
 Nad doczesnych żądz kurzawy —
 Dla dziewiczej twojej sławy
 Płyną wielkie czyste hymny,
 Płynie korny, pełen wiary
 Męczeski pacierz Barbary,
 I Syxtusa rozmodlona
 Drży Papieżka antyfony —
 I widzenia mkną ascetów —
 I natchnienia lśni poetów —
 Wszystko składa swoje dłonie
 W wszechświatowym tym pokłonie,
 Przed bezdenną Twą zagadką —
 Ewangelii Ty orlico!
 Ty dziewico, i ty matko —
 Ave Dziewico!

Trzymasz dziecię twe z uśmiechem.
 Niesiesz z tryumfem, bo On boski —
 Twego szczęścia szczytny kres,
 A w Twych oczach cień się troski
 Przeczuciowo mgli i snuje —
 I powraca i wiruje,

Bo Go niesiesz w padół leż!
 Walczyć z pierwszorodnym grzechem —
 Niesiesz Go przez gwiazd miryady
 Przez aniołów niesiesz roje —
 Między pychę, zawiść, zdrady,
 I człowiecze niepokojel
 Ach, ty kochasz Go nad życie —
 Jego życie w tobie świeci —
 Więc o Niego w sercu drżysz —
 Ale inne Twoje dzieci
 Porodzone w mgłach stuleci,
 Które czasów ciemna droga
 Odbląkała już od Boga —
 Kochasz także jak rodzone —
 Więc Ty, boska, miłująca,
 Chociaż serce twe strwożone —
 Tryumfująca, bolejąca,
 Niesiesz swego Jedynaka —
 Chociaż widzisz — krzyż!
 I wśród drogi tej podmuchu —
 Czując wszystko co być może,
 Ponad świata to bezdroże
 Niesiesz twoje Dziecię Boże,
 I nie walczysz z twą zagadką
 Co to jest być: Boga Matką —
 I kielicha nie odpychasz,
 Tylko się rumieniąc wdychasz —
 O cudowna — niepojęta —
 Najpiękniejsza w Tobie — Święta
 Matko!
 Ave! o, Matko!

Szczęsna.

PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).

Znamy wszyscy historię znakomitej rzeźby Wita Stwosza, w wielkim oltarzu Panny Maryi w Krakowie. Pył wieków osiadał na niej, ścierał blaski i złoto, szaszle przewody i kurytarze robiły w drewnie, a wraz z tym postępem zniszczenia równomiernie szło zapomnienie o twórcy arcydzieła i arcydziele samem. Niezrównanej piękności tryptyk Wita ruiną patrzył, usunięto więc go jako jakiś grat nieużyteczny już a spróchniały i jako grat ów walał się gdzieś, wyrzucony na strych kościelny. I potrzeba było jakiegoś przybysza zza morza, który nawiedził prastary gród Piastów, i potrzeba było wypadku, że, szukając zabytków archeologicznych w chylącym się do upadku Krakowie, na strych kościelny zaszedł, zobaczył tam ów oltarz i — ofiarowywał za tę ruinę ośmset dolarów. Ta niezwykła suma zastanowiła księży. A może w tej ruinie coś było czego oni dostrzedz nie mogli? Wezwano znawców, — którzy odnaleźli znany monogram Wita, rozpatrzono zabytek na całopalenie skazany — i przekonano się, że to było arcydzieło nad arcydziełami Stwosza. I w ten to sposób, według opowiadań zasłyszanych z ust s. p. Józefa Lebkowskiego profesora archeologii w Akademii Krakowskiej — wspaniały oltarz uratowany został.

Przed dniami kilku nawiedził nas artysta-malarz krakowski pan Stanisław Cercha i pokazywał nam przepyszne kartony, na których ojciec jego odtworzył cały Kraków w zabytkach kościelnych. W pracy tej pomagał syn ojcu i wyszło dzieło — pod względem artystycznym skończenie piękne, dla sztuki naszej mające wartość nieocenioną. Zabytków tych malarz krakowski

zebrał do tysiąca, a trzeba dodać, że w pracach włożył lat *czterdzieści*. To ogrom czasu i ogrom pracy, zdawałoby się nawet, że nad siły jednego człowieka. W ostatnich latach, gdy drżąca ręka od starości wymawiała artyście posłuszeństwa, w pomoc ojcu przybył syn Stanisław i lat ośm poświęcił, dla doprowadzenia ojcowskiego dzieła do końca. Tak więc pół wieku poniesiono trudu, nie dla zysków żadnych, nie dla sławy nawet, bo nie wielu wiedziało o tej iście Syzyfowej pracy — tylko przez miłość dla tej biednej, naszej sztuki.

Dzieło zostało skończone, ale potrzeba je utrwalić w wydawnictwie i — rozpowszechnić.

Rzecz musi być wydana przepysznie, koszt więc olbrzymi, na który ani nauczyciel-malarz zdobyć się nie może, ani wydawców-księgarzy znaleźć, boć tu o wydawnicze zyski nie chodzi. Dzieło omawiane może być tylko wydane ofiarnością kilku bogatych jednostek, a przecie u nas nie brak zamożnych ludzi, którzy umieją rzucić pieniędzmi na mniej użyteczne cele.

Krakowskie-Przedmieście ze swoją linią łamaną, domami dawnymi i pomnikami, staje się coraz piękniejszą ulicą. Dziwnie też odskakuje od innych ulic. Niemalże też ozdoba Przedmieścia stanowi z brązu ulany posąg Chrystusa na ganuku kościoła Świętego Krzyża. Drzwi, prowadzące do kościoła podziemnego, znajdują się w obramowaniu czarnego marmuru; na marmurzem, tegoż koloru podwyższeniu stoi Zbawiciel z ręką nieco uniesioną ku górze, a napis na piedestale „sursum corda.“ Brąz, aczkolwiek zmatowany, świeci ciemno-szarym kolorem, ale czas na nim swoje piętno położy, barwy ściemnieją i nie będzie tak bardzo jak obecnie odskakiwał nowością swoją od poważnych murów starej świątyni.

Po obu stronach posągu ustawiono dwie nowe i bardzo ładne latarnie. Prześlicznie wygląda ten Chrystus krzyż swój niosący, podczas nocy oświetlony płomykami tych latarni.

Święta! święta!...

Bez daty kalendarzowej, bez powtarzania tego magicznego wyrazu dość spojrzeć na fizyonomję miasta, by przekonać się, że Święta nie za górami. Na wszystkich wystawach sklepowych świecą podarunki gwiazdkowe; tam nad drzewkiem ubranem gustownie aniołek się chwieje, tam Święty Mikołaj o brodzie siwej śpieszy z darami do dziatwy. Przed każdą niemal szybą okna stają maciupy i z niesłychanym zajęciem przypatrują się zabawkom. Oczęta świecą jak gwiazdki, liczko zarumienione, buziaki uśmiechnięte.

A zza szyb na nie spoziera istny kalejdoskop niespodzianek.

Wybór trudny!... Bo i aniołek nęci i lalka pięknie ubrana, i serwis porcelanowy i obrazkowych książeczek bez liku. A z przyjemnością zaznaczyć możemy, że książki dla dziatwy pojawiają się w coraz misterniejszej sukience, że rysunki coraz więcej zbliżają się do artyzmu, co oczywiście dobrze na wyrobienie smaku wpływa.

Już to formalne jest zatrząsienie od książek dla dzieci. Bo jest-że gdzie rodzina, gdzieby tego zbytku pożałowano pociechom?... A jednak jest to zbytek — konieczny, ale zbytek... ze względu na ceny tych książek dziecinnych. Panowie wydawcy kokosowy interes robią, ale może czas już pomyśleć o cenach dostępniejszych, by każda niemal wyrobница zamieszkująca satereny mogła dla Kasienki lub Jasienka swojego książkowy podarunek przynieść. Gdy cena się obniży, podniesie się koszt książki — lecz na ilości rozprzedanych egzemplarzy zysk podwójny się znajdzie. Zrozumieli to wydawcy „Biblioteki dzieł wyborowych“ i — czy źle na tem wyszli?

Hej! hej! za godzin parę odezwie się pieśń kolendowa: „W żłobie leży...“ zabrzmi w murach

miejskich świątyn i wśród ścian kościołków wiejskich.

Wigilja!...

Lamię z wami chleb anielski, czytelnicy i czytelniczki moje...

A co wam życzyć?...

Doprawdy! życzeń żadnych a żadnych nie powiem.

Czy się nie znamy? Zdaje mi się, że z jednako-
kowami do siebie zwrócilibyśmy się słowami...

Inaczej jednak uczta wigilijna wygląda na wsi niż w mieście. Tam siano pod obrusem po-
łożą, snopek w kątku postawią... Na stole musi być kutia, liczba osób parzysta, strucla owinięta we wstążkę a nad stołem chwiejąca się kolebka z opłatka...

Lecę myślą do was, mieszkanki wsi... Strzeżcie się! bo szybko uderzę, zakolyszę płomieniem lampy, tajemniczem tchem wionę.

??

SIXTINA

„Fecit Raffaello A' Monaci Neri di San Sisto in Piacenza... Cosa veramente rarissima e singulare.“
Vasari, Vita di Raffaello da Urbino.

Oto ona:

Na tle nieba, które się otwarło przez ramę symetrycznie rozsuniętych zasłon, zjawia się, stąpająca po miękkich obłokach, z dzieckiem na ręku, otoczona przejasną światłością, ale bez rzucającej się w oczy aureoli. Wiew idzie przed nią powietrzny i unosi ciemny płaszcz z głowy i z ramion. Lekka, różowa, złotem tkana suknia, sfałdowana na piersi, odsłania część szyi, na której znać bruzdkę poprzeczną, najrzadszy wdzięk u dorosłej kobiety. Dzielone na środku włosy przylegają do skroni. U dziecka, jako też u dwóch aniołków, opartych o balustradę u stóp obrazu, włosy są bezładnie w płowych kędziorkach rozrzucone na czole. Natomiast twarz nagiego Jezuska jest z twarzą Madonny zupełnie identyczna, u obojga dziecinna i zarumieniona, u obojga oczy wielkie, ciemne, błyszczące, łagodne i dumne, uśmiechnięte i nieopisanie smutne, patrzy wprost na widza.

Boczne pola obrazu zajmują dwie postacie świętych. Na prawo św. Barbara, odziana w suknie o licznych, subtelnie dobranych, przyciągających barwach, z twarzą schyloną, powtarzającą się dość często w dziełach Rafaela. Po stronie lewej papież Syxtus, kwitnący starzec siwobrody w białej szacie, stule i rubinowo podbitym złotym płaszczu pontyfikalnym, „rozkleczony,“ — jakby powiedział Krasiński, podnosi oczy i wyciąga ręce ku niebieskiej Pani, cały przejęty duchem askezy—jednakże nie tej posępnej i mistycznej, jaką zdarza się zazwyczaj widzieć na wizerunkach starców świętych i błogosławionych zakonników, ale jakiejś innej, prawdziwszej i serdeczniejszej, naiwnej jak dziecko i po dziecięcemu szczęśliwej.

Obok Syxtusa stoi na gzymsie marmurowym papieska, z prostotą wykonana tyra. Opodal niej wspomniane dwa słynne aniołki spoglądają w zadumie ku górze; za tło im służą własne skrzydełka, z piórek ptasich urosłe, zielonych i wiśniowych odcieni.

Na obrazie znajduje się jeszcze wiele innych główek anielskich, cała perspektywa błękitu jest niemi wysłana. Są to przecież tylko sylwetki mgliste, wznoszące do uwydatnienia ogólnej myśli, racyjny, na który chyba jeden twórca mógł sobie pozwolić.

Wszystkich na świecie dotychczas i na przyszłość najgenialniejszy, w tej galeryi, bez którego nie by-
ani Drezna, ani Saksonii, wy-

magął godnego umieszczenia, wyłączenia z tłumu wszelkich innych, przechowania pietycznego, jak gdyby nieocenionej relikwii.

Wymogom tym stało się zadość. Był on przeznaczony do ołtarza, ustawiono go też w sposób odpowiadający intencjom artysty. Osobną salę tutejszego muzeum przeznaczono dla arcydzieła na świątynię. Obraz, ochroniony silną taflą szklaną, mieści się w ramach złotych, wyobrażających emblematy malarskie; przed nim ołtarz, ponsowym obrusem zaścielony. Taką barwę mają ściany, draperye i kanapy. Przez jedyne okno, zwykle na oścież otwarte, wpadają łagodne promienie światła i dochodzą harmonijne dźwięki dzwonów królewskiego tumu, a w chwilach ciszy olbrzymia fontanna z przyległego parku aż tutaj odbija swe lkania.

Naprzeciw obrazu ustawione jest popiersie Rafaela, kute w białym marmurze przez znakomitego rzeźbiarza saskiego, Ernesta Haehnela, z którego dziełami zapoznać się można przede wszystkim w podwórzowej sali Albertyńskiej Glyptoteiki. I tak musi się wzrok widza mimowolnie przenosić z nieśmiertelnego dzieła na oblicze mistrza. Dziwna ta głowa, kobieca prawie, ozdobiona wieńcem długich, opadających loków, w birecie włoskim, nigdy nie została odtworzoną z równym artyzmem. Rysy są regularne, szczupłe, oczy nieco zmrużone, obojętnie patrzące po przez tłum w dal nieokreśloną; usta delikatne, trochę dumnie zaciśnięte, a poblazliwie zarazem...

„Głowa artysty, głowa nieszczęśliwa,
Codziennym gwarem na sztuki targana.“

owa młodego Rafaela

„głowa jasnowiąsa
Była obrazem piękności człowieka,
Była w niej jakaś tęsknota daleka...“

„Twarz jego była ruchoma, jak fala,
Co wszystko wiernie na sobie powtórzy,
Czy błyskawica zamigoce zdała,
Czy niebo jasne.“

„Tęsknie szukając świętych snów na jawie,
Na każdą z kobiet poglądał ciekawie;
A niemal każda, chełpliwa z urody,
Na którą spojrzał lub popatrzał trocha,
Już była pewną, że Rafael młody
Do niej się wdzieczy, nad życie ją kocha;
Gdy on, nieświadom poziomego szafu,
Obcy złudzeniom pospolitej młodzi,
Szukał na ziemi swego ideału
I łamał ręce, że go nie znajdzie.“

Znane wiersze Kondratowicza brzmią dziś już nieco archaicznie; fantastyczny Zwinger i szerokie przestrzenie Galeryi maleją wobec ogromu i artystycznego zbytku naszych najnowszych pałaców i hoteli. Owo jednak dzieło, stworzone przed czterema wiekami na kilku zeszytych kawałkach płótna, do dziś dnia olśniewa nieprześcignioną świeżością i zachwyca pielgrzymów, spieszących doń ze wszystkich stron świata.

Jest to najwyższe skryształizowanie się uduchowionej siły, ostatni wyraz piękna, cokolwiek bądź twierdzić mogą akademiccy pisarze, jakoby dopiero zjednoczenie kolorytu Tycyana i światłocieni Correggia z rysunkiem Rafaela złożyły się mogło na całość, będącą najwyższym piękną przejawem. Niechaj uczeni przeznaczają dla Rafaela tylko ograniczoną dziedzinę sztuki, kierunek beznamietnej uczuciowości, a w tematach bohaterkich niech szukają więzów, które krępowały jego subtelny talent. Sanzio zawsze zostanie uosobieniem tryumfującego geniuszu, unicestwiającem wszystko, co komentatorowie o szkołach, właściwościach i kategoriach talentów powiedzą. Niemożliwym jest rozgatunkowywanie piękna, niemożliwą nawet definicya, nazywająca pięknem to tylko, co obudza w nas bezinteresowne upodobanie; racyę może mieć jedynie wyszukiwanie najogólniejszych cech, wiekopomnym dziełem sztuki właściwych.

Estetyk Zimmermann, znany profesor filozofii w Wiedniu, powtarzał często, iż ten, komu Bóg usta, oczy lub rękę palcem dotknął, żadnych pęt, ani estetycznych, ani etycznych nie znosi, a tem mniej ich potrzebuje. Artysta żadnych skrzepłych praw trzymać się nie może, kierunku sobie żadnego nie wytyka, równie bezwiednie staje się do poprzedników podobnym, jak bezwiednie nowe dla umysłu zdobywa horyzonty; zadaniem filozofii będzie badanie dróg, jakimi duch ludzki energię w czyn przemieni się stara. Po za tem niepodobna mu dać żadnych drogowskazów: artyzmu one nie zastąpią, a prawdziwy talent jest już sam w sobie wędzidłem i nigdy nie jest w stanie ani w życiu, ani w twórczości zejść ze szlaku, na którym w umysłach wszystkich epok i u wszystkich narodów potrafi struny szlachetne. A jeżeli w innych dziedzinach sztuki braknie skoncentrowania wszystkich promieni do jednego wyrazu, jeżeli ani Apollinowi Belwederskiemu, ani Herze Ludovisi, ani wreszcie Afrodydzie z Melos nie można przyznać przed Laokoonem pierwszeństwa, to właśnie w malarstwie, gdzie twarz, postać i każdy szczegół w otoczeniu Syxtynskiej Madonny jest wprost wciele-
niem najwyższej powszechnej idei, tu właśnie stajemy w obec rozwiązania zbiorowych piękna dotyczących problemów:

Nie z zawyłych spekulacyj, nie z zagadkowych czynników metafizycznych wynosi człowiek ołnośne ducha pragmatyka; rodzą się one bez żadnych pośrednictw, gdziekolwiek bądź w najbliższym zewnętrznym świecie i z tych samych, tak blizkich i dostępnych źródeł mogą być ugaśzone: wszakże Madonna Syxtynska jest najwspanialszym odbiciem Stelli Fornariny, a ta była dziewczyną, należąca do gminnych warstw ludności i stała o tyle niżej od dzisiejszych współczesnych z nią kobiet, o ile z biegiem cywilizacji podniósł się od r. 1500 powszechny poziom umysłowej dostojności.

Czy Fornarina istotnie dosięga szczytu piękności kobiecej? Z pewnością trzeba by zaprzeczyć. Ale że ją Rafael pokochał, że mu była ze wszystkich najmilsza, jednym więc natchnienia zamachem przeobstwową została skromna, czysta dziewczeczka w najwznioślejszą chrystyanizmu świętość,—wdzięk kochanki zolbrzymiał w płomieniach gorejącego geniuszu do nadziemskiego majestatu Madonny.

I w tem znów dowód jasny, jak zbytniemi są w sztuce pojęcia idealizmu i realizmu, mające rzekomo przedzielać prąd duchowej twórczości na dwa rozstajne ramiona. Kategorie tego rodzaju odpowiednio są li tylko do określenia manieri, w jaką ten lub ów talent nierzetelny popada. Prawdziwy artyzm musi pierwotnie łączyć w sobie wszystkie pierwiastki, od skrajnie duchowych do skrajnie naturalistycznych, a indywidualność poszczególnego geniuszu nadaje dopiero tej pełnej skali barw i tonów właściwy charakter. Da się tu sformułować może jedyna teza, która z wszelkiem pięknem ściśle jest związana. Dzieło sztuki musi koniecznie odpowiadać prawdzie, jakkolwiek nie być jej kopią. Inaczej nie przemówi do duszy i nigdy nas nie porwie.

Sztuką jest lotną, w zawrotnych wysokościach sklepiającą się kopułą, lecz spoczywa na filarach rzeczywistej natury. Nie jest mistrzem, kto niewolniczo odwzorowując naturę, od nizin realnego bytu nie odleci. Nie jest nim mistyk, zbłąkany w mgławicach abstrakcji; i on opadnie ku ziemi na bezsilnych skrzydłach Ikara.

Żywym, tajemniczym, odurzającym zmysły wzrokiem spogląda na nas Syxtyna. Twarz, szyja i ręce nie są bynajmniej idealnie białe. Rumieniec, jakgdyby szybkim biegiem albo wzruszeniem wewnętrznym umalowany, tętni krwią ziemskiej, oddechającej i czującej istoty. Zaś u bożego dziecka, które jest tylko cząstką owej młodziutkiej matki, zmarszczka mądrości i miłosierdzia, wyryta przedwcześnie na małym czołku, byłaby i po ziemsku możliwą. Nie brakło nawet zarzutów ze strony współczesnych Rafaela, iż na obrazach swych każe się modlić do własnej kochanki i znieważa niegodnie rzeczy święte...

Ktoby jednak, stanąwszy przed jego obrazem, doznał na widok tej przebóstwionej dziewicy-matki jakich erotycznych wzruszeń, podobnych tym, których dozna w winnym skrzydle galeryi wobec „Lata“ Mackarta albo przed którymi może na widok licznych Madonn terażniejszych malarzy nie będzie się mógł obronić, ten albo nie jest zdolny pojmować nadprzyrodzonej strony zjawiska albo ma umysł tak niski i niedokształcony, iż w ogóle cała dziedzina piękna musi pozostać dla niego księgą niezrozumiałą, a więc zamkniętą na zawsze.

Realną jest Syxtyna tak prawie, jak postacie Maryi u Albrechta Dürera, — codzienne, znępane kobiety, przedstawione na tle izb staroniemieckich i w otoczeniu towarzyszek robotnic. Oprócz podkładu nadprzyrodzonego zdobi ją wszelako także piękno rzeczywiste a w doprowadzeniu idei mistycznej do zenitu i w połączeniu jej z czarem zmysłowej piękności polega właśnie jej wyższość nad kompozytami niemieckiego mistrza.

A że prawdziwe piękno musi być jasno zrozumiałem, samo w sobie być początkiem i celem, więc też dzieło rafaełowskie w równej mierze zachwycać musi każdego widza, bez względu na to, czy podziela on korną, głęboką i nieanalizującą wiarę samego twórcy, czy też w przedmiocie obrazu widzi jedynie formę danego kultu religijnego o niewysłowionej potędze i wdzięku poetyckim. Z niemiejszą siłą działa na pozytywne umysły dzisiejszej doby tytaniczny Zeus Fejdyasa, jaką wywierał na współwierzący z mistrzem dawny świat Hellady. Natchnione słowa Sophoklesa jednakim dreszczem grozy wstrząsają słuchacza dziś, jak przed wiekami. To jedno pewna, iż bez wiary, uskrzydłającej ducha, ani ów rzeźbiarz starożytny ani Rafael Santi nie wyczarowaliby z nicości takich zdrojów ideału, z których cała ludzkość pić i napoić się może.

Przeświadczony o swem wyższem posłannictwie mistrz posiada wolność bez granic; całym obszarem swej samowiedzy i najdrobniejszym jej ułamkiem może nadać byt rzeczywisty spiacym w sercu pomysłom. Czy to będą epokowe, zawisłe nad narodami zagadnienia, czy też najcichsza spowiedź jego własnej duszy, wszystko jednakim rozkwita płomieniem, gdy je czarodziejska dłoń geniuszu z niepochwytanego chaosu zdarzeń na ołtarz sztuki dobędzie.

Z tą chwilą przestaje zarazem dobytym przedmiot należeć do pozostałej natury. Jego byt doznaje metafizycznej przemiany, a to co z ręki mistrza wyjdzie, jest tworem nowym zupełnie, który pochodzi z ducha.

Miłość Rafaela, sama przez się, nie stała może wyżej, aniżeli miliony poprzednich miłości, a jego Fornarina żadną własnością nie przodowała zastępom innych. Ale z chwilą, gdy malarz przedmiot swych upodobań na płótno przenosi, przestaje być uczucie jego miłością człowieka a wybrana istota zwykłym społeczeństwem ogniwem. Inny to już świat jest, nie mniej od ożywionego rzeczywisty, ale zupełnie różny, jak różną jest dziedzina, w której rozciągają się jego przestworza.

Znaną jest okoliczność, przy jakiej powstała słynna „Madonna della sedia“ z pałacu Pitti we Florencji. W pewnej osteryi spozstrzegł był Rafael bardzo prozaiczną kobietę, siedzącą z dzieckiem na kolanach w krześle a obok niej starszego chłopaka; zrodził się w nim wtenczas z błyskawiczną szybkością pomysł do nowego wizerunku Madonny i na beczce stojącej w pobliżu nakreśliła wprawna ręka mistrza pierwszy szkic przyszłego znakomitego obrazu. Jaskrawo to przykład, że jak biednej codzienności wyłaniają się nieśmiertelne natchnienia.

Im mniej własnego ducha artysta w dzieło swe włoży, tem mniejszą jego estetyczną wartość. Tak i w szeregu pięćdziesięciu wizerunków Madonny, stworzonych przez Rafaela, nie wszystkie dosięgają jednakich wyżyn sztuki, jakkolwiek na każdej znać piętno jego niezrównanego rysunku. Nawet jedna z najslawniejszych i najlepiej zachowanych, którą tylokrot-

nie oglądać i studyować mogę, („Marya w Zieleni“) nie sprawia choćby w przybliżeniu tak silnego wrażenia, jak Syxtyna. W niej dopiero skupił Rafael wszystkie swe siły, w symfonię barw wetchnął całego siebie i cały ocean szarpających nim ogni w jednym piorunie ekstazy przyszłym przekazał pokoleniom.

Powiadają, że Rafael, umierając w kwiecie wieku na piersiach Stelli, wobec rozpaczającego papieża i łkających uczniów, podał stygnącą ręką pędzel swój Juliuszowi Romano a ten ostatni skruszył cenny dar młodzieńczego mistrza i rzucił szczątki na trumnę. Mimo to utworzyła się szkoła Rafaelistów, na której czele Giulio Romano bywa wymieniany. Ale prace tych epigonów są tylko szlakiem ognistym, który powstaje po spadającym z horyzontu meteorze i świeci zapożyczonym blaskiem; czuć w nich zamiar i wysiłek a brak twórczego talentu. Kapitał ten wyczerpywać się zwykł ze śmiercią przewodniego geniuszu. Oko mistrza toczy się w obłędzie po niebie, schyla ku ziemi i w świecie przez niespokojnego ducha odczuty, w którym nie uderzają już o siebie twarde przedmioty rzeczywistości — a lekko przepływają bezcielesne idee, ogląda artysta nowe myśli przejawione w sennych obrazach, sam z siebie prawidła nieznanne wysnuwa, jakimi środkami idea da się utrwalić.

Dla tego to geniusz jest w produkcji swej zawsze oryginalnym, na każdym polu zostaje wiecznym rewolucjonistą, usuwa tamy, wskazuje na tory, o których istnieniu nikt nie wiedział i zabiera głos tam, gdzie inni milczą.

Żal, rozpacz, radość i uniesienie mogą ovladnąć sercem każdego człowieka, ale stopić je na piękna melodię potrafi tylko on jeden.

I tu znów otwiera się przed nami niezgłębiona przepaść, dzieląca naśladownictwo od oryginału, talent od twórczości. Naśladowca reprodukuje formę, nie posiada wszakże sił, wspaniałe formy ożywić. Między zamiarem a środkiem nie zna proporcjonalnego stosunku. Bo wirtuozyzm w technice — żywiołowej potęgi natchnienia nigdy nie zastąpi. Uzdolnieniem i sprytem wszystkiego można osiągnąć. Można w posługiwaniu się charakterystycznymi efektami, a jak w danym wypadku metodą prowadzenia pędzla przejść nawet samego mistrza. Można, co więcej, na podstawie teoretycznych studyów obliczać naprzód, czem się najsilniejsze na drugich wywrze wrażenie. Mimo to wszystko chyba niedoświadczony laik da się uwieść świetnymi pozorami. Bez owego przyrodzonego szlachetwa będzie naśladowca jak aktor, co się w purpurę ubiera ale udaje tylko powagę królewską, i przy całej przezorności prędzej lub później prawdziwą wartość swą zaznaczy. Malując postać świętą, ziemskiego wzoru nie przeistoczy; będąc rzeźbiarzem, zepsuje całość fałszywie ułożoną draperyą; jako pisarz, niesmacznym zwrotem zdradzi w stylizacji popolitość umysłu; a w życiu niepowstrzyma się przed krokiem, który jeżeli już nie plamą na jego charakterze zaciąży, to przecież nie licuje z dostojnością szczerzego natchnienia. Raz jeszcze: natchnienia nauczyć się nie podobna; artystą trzeba się urodzić.

Nie tylko w duchu Rafaela tworzyć, ale przede wszystkim arcydzieła jego niewolniczo odwzorowywać, kuszone się niezliczoną ilością razy. W obecnej właśnie chwili pracuje pewien młody malarz (Sch.) nad wielką kopią Syxtyny, prawie już wykończoną; każde posunięcie pędzla powtórzone tam zostało z nadzwyczajną troskliwością, przejrzysty charakter farb Rafaela naśladowany zdumiewająco wiernie, a jednak... praca kopisty jest tak od oryginału odległą, jak manekin woskowy od prawdziwej kobiety, jak sztuczny kwiat od wonnej róży, albo jak modelowane zwłoki lwa od żyjącego króla puszczy. Stosunkowo najlepiej odpowiadają celowi reprodukcje fotograficzne, już to z całego obrazu w wymiarach zmniejszonych, już też z popiersia samej Madonny. Nie łączą się z tem przynajmniej żadne artystyczne roszczenia a udatny egzemplarz staje się w rzeczy samej cenną pamiątką, i znakomitą będzie nam pomocą, ile ra-

zy zechcemy sobie odświeżyć i przejść myślą odebrane w galeryi wrażenia.

Wielkie zadanie sztuki malarskiej, ucieleśnienie ideału Chrystusowej Matki, znalazło w Rafaelu Santi tak niezrównanego wykonawcę, że wszelkie próby późniejszych i nowoczesnych malarzy, odnoszące się do tego samego przedmiotu, wydają mi się zbędnymi, dopóki nie znajdzie się istotnie duch, który w tym kierunku na jaką nową myśl się zdobędzie. Gdy zaś jej nie ma, to już lepiej zadowolić się podziwianiem gotowego arcydzieła, aniżeli kusić się o tworzenie samoistne.

Niema w tem upokorzenia żadnego. Kto zdoła dzieła wielkich mistrzów tak przejąć i zrozumieć, jak je pojmował sam twórca, ten jest równie doskonałym mistrzem, chociażby się od realnej produkcji powstrzymał. Wielkiem byłoby szczęściem posiadać zdolność Rafaela, ale nie przynosi to ujmy, takich stopni sztuki nie dosięgnąć. Jeżeli zaś kto nie został już w kolebce naznaczonym na kapłana sztuki, ten uczyni pożyteczniej, gdy ograniczy się do biernej roli w sztuce, aniżeli miał zostać sztuką tej augurem.

Tak to w obliczu rafaełowskiej spuścizny myśl nasza wolno puszczonego przebiega w chyżym locie wszystkie dziedziny piękna, sztuki, nieledwie wiedzy powszechnej. Cała sfera etyki, estetyki i filozofii staje przed nami żywcem, jednym rzutem daje się ogarnąć i najzawilsze zagadnienia tego zakresu rozwiązują się z łatwością same przez się. Sposobem praktycznym i bez trudu przyjść musi każdy do przekonania o prawdziwości wniosków, które filozofia dopiero w ostatnich swych etapach na gruncie pozytywnym wyprowadzić zdołała. Ani Kant, ani Herbart nie mogą być już dopuszczeni do głosu. Przedmioty sztuki, a więc objawienia sztuki, li tylko jako zjawiska psychiczne nadają się do rozumowych dociekań, systematyczny zaś rozbiór jego poszczególnych momentów jest nieudolną zabawką. Pęd geniuszu jest jak niejednostajny bieg górskiego strumienia; za każdą przeszkodą, za każdym napotkanym pniem i głazem kształt fal swych zmienia, w inne ubiera się blaski, inną rzuca się kaskadą, innem echem skałom o sobie opowiada. Produkcja dokonywująca się siłą indywidualności nie podlega żadnym utartym regułom, któreby wskazywały, co dobre, co złe. Jestto skutek najistotniejszej natury geniuszu. Każda inna wiedza doprowadza do pojęć trzeźwo sformułowanych, bo materyał jej równie jasno daje się określić. Astronomia oznacza obrot ciała kosmicznego, psychologia śledzi za prawami życia duchowego, metafizyka stara się doprowadzić impresje do ogólnego schematu.

Ale dla geniuszu cały świat zmysłowy i transcendentalny jest wykładnikiem. Uczony bada rzecz stworzoną, artysta tworzy sam. Uczony myśli zapomocą logicznych pojęć, artysta zapomocą obrazów. Mądrość filozofa łączy on z upodobaniem dziecka w barwnych zjawiskach.

On nie zna żadnej ściślejszej ojczyzny, — z niczem się związać nie może, — jest bezdomnym tułaczem. O prawa przyrodzone nie potrzebuje się troszczyć, bo niczego w świecie zewnętrznym nie szuka. Sam siebie na strzępy rozdziera i za plód swój podaje.

Na rzeczywistość rezygnuje z góry, — zadawania się tęczowem złudzeniem. W posiadaniu swej twórczej wyobraźni jest władcą całego świata: na wszystkich świata krańcach zapala gwiazdy natchnienia i na każdym sercu gotów ułożyć się do spoczynku...

Ażeby w całej pełni objąć majestat Syxtyńskiej Madonny i ogromu wrażenia nie uszczuplić żadną zewnętrzną przeszkodą, należy widzieć ten obraz w porze dnia, w której szersze światło znaleźć z tem arcydziełem sam na nie się niem rozkoszować!

Bo falujący tłum obcych ludzi ludniowych godzinach przybyte

Po chwili obadwaj przyjaciele weszli do sklepu z zabawkami. Tu, rozbudzona już przy galanterii hojność pana Władysława wzrosła tak, że wyrównała najakuratniej zawartość jego pułgaresu.

I znów przyszło do sprzeczki.

— Władku, zastanów-że się! Przecież moje dzieci jeszcze za głupie, nie ocenia takich kosztownych zabawek, poniszczą to, popsują!

Ale przyszywany wujaszek robił swoje, tylko od czasu do czasu odrzucał:

— Anusia jeszcze nie miała lalki, która mówi „mama“, a już ma siedem lat!

To znów:

— Zdaje mi się, że Zosia jest moją chrześniacą, a nie twoją, więc się nie wtrącaj! Ja różniemy między dziećmi nie robię, i Jaś tandety nie może dostać!

Wreszcie pan Stanisław gwałtem wyciągnął przyjaciela na ulicę.

— Oj Władku, Władku, jak ty wyglądasz! Zupełnie wielbiad, obuczony wielbiad!

A pan Władysław śmiał się, aż mu się wszystkie zęby zabieliły.

— Tylko tam nie gadaj, żeby mieli jutro niespodziankę!

— Irence powiem, jak Boga kocham, powiem!

— Daj spokój, daj spokój. No, ja teraz wracam do domu, bądź zdrów!

— Bądź zdrów! Ale nie spóźnij się jutro, mój ty, wiesz, że Irenka zawsze pierwszej gwiazdki czeka!

— Naturalnie, naturalnie. Tylko nie gadaj, proszę cię!

I panowie się rozeszli.

Coraz wyraźniej śmiała się do pana Władysława różowa buzia pani Życkiej, szczególnie, kiedy mijał wystawy jubilerskie. Stawał wtedy i patrzył.

— No cóż, kupiłbym; przecież ja oprócz nich nie mam nikogo. Kupiłbym, ale Staś znówby mi nawymyślał. Miły jest taki mąż! Oho, ja byłbym inny; pozwoliłbym, owszem, owszem...

Ale właśnie w tej chwili wydało mu się, żeby nie pozwolił.

— Wyrzuciłbym za drzwi i przyjaciela i prezent—pomyślał.

A potem westchnął i poszedł.

W domu porozwijał podarki i zaczął je oglądać. Podobały mu się; później wypił herbatę, położył się spać i śniło mu się, że ma żonę i troje dzieci. A kiedy się obudził nazajutrz w dzień wigilii, to już nie znalazł w sercu nic z radości wczorajszej, tylko jakiś smutek i ciężar. Przed wieczorem ubrał się i poszedł do Życkich.

Szczyście mu widocznie sprzyjało, bo drzwi otworzył sam pan Stanisław i zaraz go wpuścił do bawialni, gdzie też gość copędzej poukladał pod choinką przyniesione prezenty. Potem obadwaj panowie poszli do jadalni.

Stół już był nakryty, a pani Irena właśnie pociągała sznurek od rolety, aby poszukać pierwszej gwiazdki na niebie.

— Aha, już jest! Staśku, jest, jest!—zawołała i odwróciła się szybko od okna. — A, i pan Władysław, dzięki Bogu! No, to zaraz siadamy!

I podeszła do gościa śliczna, wesola i taka młoda w swej białej sukni ze złotym paskiem, jakby znów powróciła do panińskich siedemnastu lat.

— Ja pana bardzo przepraszam za Stasia—zaczęła, witając — bo on już od tygodnia powinien być u pana i prosić go do nas; ale to taki maruda i taki biedak zapracowany, że mu trzeba darować. Ale zawsze przepraszam bardzo!

A pan Władysław w rękę ją pocałował i odrzekł:

— To ja bardzo przepraszam państwa, że mam taki bezdomny i u nich rokrocznie gościnnie przyjmuję.

— Niechże się pan poprawi i na przyszły rok nas do siebie poprosi, przyjdziemy z całą naszą gromadą do państwa Władysławów, — mówiła, wesolo nań patrząc czarnymi oczyma.

— A naturalnie, że przyjdziemy — dodał do-któr;—dosyć już nas naobjadałeś! Już i ty musisz się wystarać o jaką Irenkę!

— A jak to nam dobrze będzie, tak we czworol! Prawda panie? Niech się pan wystara o jaką Irenkę—prosiła.

Ale on tylko ręką machnął, bo czuł, że mu się jakoś coraz bardziej mroczy w duszy.

Do pokoju wpadły dzieci. I one już wypatrzyły pierwszą gwiazdkę, a pilno im było do wieczery, aby po niej dostać się nareszcie do bawialni, zamkniętej na klucz już od samego rana.

Obstąpiły zaraz pana Władysława.

Trzyletnia Zosia na prawach chrześnicy poszła na ręce; Anusia pociągnęła go ku kanapie, weszła na nią i zaczęła mu coś mówić do ucha, Jaś znów stanął przed gościem i pytał, co on stać robił z tatusiem w saloniku, bo ich obu dwóch widział przez dziurkę od klucza.

Aleksandra Lapińska.

(Dokończenie nastąpi).

BIAŁA BASZTA

NOWELLA

przez

SZCZESNĄ.

(Dalszy ciąg).

III.

W ogniu natarcia.

Wyprostowała się Małgorzata, nasunęła hełmik swój złoty, dumne czarne brwi zadrżały i błysk śmiały zamigotał w oczach. Opadła z jej duszy wszelka nuda i odrętwienie, była znowu rycerką, gotową do walki... Tak iskra piorunowa drzemie wśród słotnych chmur powicia, milczy, utajona, jak senna... ale gdy obłoki wieher rozpraszają, gdy zetną się z sobą w powietrzu napaści, budzi się iskra wśród starcia żywiołów, płomiennym okiem błyska i uderza potężnym, rozstrzęgającym burzę gromem.

— Gdzie jest mój mąż i pan? — spytała doraźnie niewiasta. Zdenko milczał.

— Gdzie mój mąż dał ci rozkaz przybycia z wieściami do mnie,—pytała stanowczo, ale nie było odpowiedzi.

— Co to jest! Zdenko! przysłanyś? mów!

— Miłościwa pani... — rzekł rycerz smutnym i poważnym głosem i urwał.

— Mów! na Boga!—krzyknęła Małgorzata, ale on się nie kwapił, jeno połą czarnego płaszcza przetaił czoło i wzrok wbił do ziemi... Ściobor szarpnął się niecierpliwie:

— Dla czego wy męczycie miłościwą panią! mówcie, co wiecie!

Rycerz z góry spojrzął na sługę.

— Może do komnat przejdziemy—rzekł—tam waszej miłości zdam moje trudne poselstwo.

— Nie! mów od razu, między wiernymi przyjaciółmi jestem, oni nie mniej czekają pana, jak ja męza.

Gniew mignął w oczach Zdenka, ale go zrzęcznie zdusił.

— Rycerz Mikołaj... do ostatniej chwili... chwalebnie służył królowi... i was, miłościwa, wspominał...

— Pan nasz!—zakrzyknął Ściobor.

— Nie wróci... nie masz go już... innemu, nie mnie, zlecił ostatnie słowa do zamku... tutaj... ale rycerz Dobosz poległ w miesiąc później w utarczce... jam przy nim był... mnie zdał obowiązki tej wieści... przyjąć musiałem...

Małgorzata błękitne, uważne oczy zatopiła w mówiącym... przebijała go na wskroś, chwyciła lekkie drgnięcia pięknej twarzy, śledziła powłokę tej duszy z dokładnością surowego sędziego, z jasnowidzeniem miłości. Żołnierzy paru

szłochoło w kącie, Ściobor stał złamany, łuczniczy przytulił w kamienną podłogę.

— Uspokójcie się! — rzekła pewnym, dźwięcznym głosem Małgorzata, — pan wasz żyje! ja wiem o tem; a ty, czemu przychodzisz odbierać moim żołnierzom spokój i odwagę, czemu przychodzisz, na ustach—z nieprawdą! Co?

— Miłościwa pani! — jęknął Zdenko, a twarz jego była tak zgębiona, że Małgorzata sama mocno zbladła.

— Ciężka to dla mnie chwila... wiedziałem, że nie uwierzycie! i mnież to los zdarzył przekonywać was o nieszczęściu... Święty Boże!

— Kiedyś widział męza mego ostatni raz?

— Niedawno. Król nas rozdzielił... To było z wiosną... w Maju rycerz Mikołaj, broniąc obozu przed zdradą, poniósł śmierć chwalebną... do-wiedziałem się dopiero przed miesiącem, gdy z Doboszem spotkał się w poczcie królewskim, w potyczce z Wszesławem; Dobosz zginął wtedy... mnie polecił wieść...

— Dziwna rzecz!—rzekła Małgorzata z nieufną goryczą,—wszyscy poginęli, tylko ty ocalał! — Nie unikałem śmierci—rzekł wyniosłe.

— Pomieścił rycerza... jak zwykle...—rozka-zała pani Ścioborowi i weszła na schody swej baszty, a sługa zadowolony był, że choć krewniak to pański, nie dała mu zamieszkać w komnatach gościnnych, jeno tam gdzie umieszczano przejezdnych żołnierzy. Ona tymczasem zamknięta w swej baszcie, zalewała się łzami i powtarzała gorączkowo, rozpaczliwie:

— Mikołaju! jak jest? jak jest?

Zatapiała się w głębinach swej duszy, słuchała przeczuć... a przeczucia jej szeptały mężowską przestrogę: posępny myślom się broń, pogłoskom nie wierz... Zdenko! wiedziała przecie, że on tchórz... kto tchórz, to i kłamca być może. Ale jakiś inny był... poważny... chłodny dla niej... gdzie prawda? gdzie? może istotnie... ależ mąż byłby jej pierścien odesłał, miecz odesłał, jakiskol-wiek znak... Nie! Mikołaju mój, tyś żyw... ja cię czuję... dalekoś, aleś żyw! Jakaś ją mściwa niecierpliwość opanowała, żeby badać oblicze krewniaka, zdało jej się, że w końcu wyczysta z niego zdradę. Pod oknami chodził Zdenko ze Ścioborem i rozmawiali o smutnym wypadku, a rycerz niby żałując pani, niby jej oszczędzając, głośno jednak mówił, aby słyszeć mogła ze swej baszty.

— Odważna niewiasta, krewna moja, a przed nieszczęściem duszę zamyka... nic dziwnego... a jednak... lepiejby jej raz przetrzymać stanowczy grom, niż skazywać się na całe życie oto na gorączkowe a nadaremne oczekiwanie...

— Skoro król wróci, dowiemy się od niego pewnej wieści... Takiego rycerza jak nasz pan, nie traci się bezwiednie.

— Mikołaj źle był z królem w ostatnich czasach... odważył się Śmialemu robić uwagi, że wojsko naśladuje go w zbytku, biesiadach i rozkoszy i król odesłał go do dalszych pocztów... i mówić o nim nie lubił.

— Myślę jednak — rzekł Ściobor, podejrziwie patrząc w oczy młodzieńca, — że król ocenić jednak będzie umiał tych rycerzy, którzy przy nim zostali wiernie... i odróżnić ich od tych, którzy go opuszczają w czasie wyprawy... i wracają do kraju...

Zdenko zmieszał się widocznie, lecz obojętnie dodał:

— Dotychczas nie tak wielu znów opuściło nasze szeregi, a mam nadzieję, że mi Bóg dozwoli wrócić do monarchy z świeżymi siłami.

— W takichże to łaskach jesteście u króla, że was, rycerza młodego, na werbunek wysyła?

— Rycerska to sprawa, której trudno wam w krótkości wytłómaczyć, mój Ścioborze — rzekł pobłażliwie młodzik.

— O, my tu pod rządami miłościwej pani nauczyliśmy się rozróżniać rycerskie sprawy od napaści i zdrady!

— Tylko popadliście w uczuciowe złudzenia, niestety!

Dalszą rozmowę straciła Małgorzata, ale stary, czujny sługa zapukał do niej rano.

— Miłościwa pani... rycerz Zdenko za dużo wie różnych rzeczy co się w okolicy dzieje, żeby

wprost miał wracać od króla, on dawniej wrócił z tymi, co króla odbiegli...

Zamyśliła się niewiasta i długo naradzała się ze starym. Mijały dni. Poważnie a smutnie toczył Zdenko rozmowy z Małgorzatą, nazywając ją panią, oddając jej pokłon z daleka. Jenó gdy zamyśliła się lub spuściła oczy, wlepił w nią zaraz wzrok zdumiony jej pięknoscia, z wiosennej, słonecznej przemienioną w jakąś księżycową, nadziejską, bajeczną.

Raz, gdy w niedzielę jechać mieli do pobliskiego kościoła, a niewiasta zeszła do sieni w bogatej szacie i błyszczącym hełmie, rzekł zdziwiony:

— Miłościwa pani... wy nie nosicie żałoby?— to tak dziwnie...

Spojrzała mu prosto w oczy:

— Toby było dziwnie, gdybym żałobę przywdziała, kiedy mój mąż żyje!

Zaniepokoił się Zdenko. W kościele spotkali Hankę, która przywitała krewniaka, jako niedawno widzianego u Wikty.

— Nie mówiłeś mi, że siostry moje widziałeś—zagadnęła go Małgorzata.

— Tamtędy szła mi droga... a małom jeszcze z wami gwarzył, miłościwa.

Małgorzacie błysnęła myśl nowa; poprosiła Hanki, aby z nią jechała na zamek. Dziewczyna przyjęła to z uniesieniem. Piękny, rycerski krewniak wabił jej niespokojną naturę. Poweselało w warowni. Hanka śpiewała, Zdenko się niby wymawiał, potem nucił smętnie, przenikliwie dawne pieśni, z pod okienka dawnej Małgosi... Niecierpliwilo to panią; a przecie tych dwoje z rodziny, jej blizkich, równych, tworzyło jakoweś życie rodzinne, własne, poufale, jakieś swojskie kółko, wyniesione ponad załogę, której jeno panować musiała.

Minęła tak zima... zostawiła Małgorzata Zdenka na zamku, bo Hanka, gdy o odjeździe jego mówić zaczynało, wpadała do komnaty siostry ze łzami i lamentem. Kto wie—myślała kobieta, może co z tego dobrego będzie, jej—los, mnie—wielka ulga... kamień z serca... uchylone obawy... I Zdenko został, z Hanką latał, bawił się, droczył, na Małgorzatę, gdy tego nie widziała, okiem spiskowca spoglądał. Swobodę też w zamku miał, chodził gdzie chciał, wyjeżdżał do Wikty w odwiedzinę, na łowy, do Krakowa, i wracał. Potem Hance opowiadał, gościł ją przywoził. Razu pewnego wrócił rad niezmiernie z myśliwskiej wycieczki; wieczorem, na dobranoc Hance, zawiesił jej na szyi bardzo piękny wschodniej roboty naszyjnik. Zapłonęła Hanka radością, Małgorzata przyjrawszy się, rzekła:

— A z kąd-że to masz, Zdenko? to kijowska robota, mój ojciec kiedyś podobny przywiózł matce z wyprawy...

— Masz słuszność—rzekł szybko krewniak— to kijowskie... kupiłem tam od Persa, myśląc że dam komuś w kraju

Na tem się urwało, lecz Małgorzatę tknęło przecucie jakies... czemu on dopiero teraz to pokazał, kiedy po sto razy grzebali z Hanką w jego skrzynkach, przerzucając piękne rzeczy, które przywiózł, ale niewieściach ozdób tam nie było... na polowaniu tego nie znalazł... Persa w lesie nie spotkał.. od kogóż to wziął?... Dokoła głowy Zdenka plątać się zaczęły nitki różnych podejrzeń Małgorzaty, snuła tę przędzę, zaprzeczała sobie... i znów snuła...

W jesieni huczno, szumno, dworno, z muzyką i pieśnią, zjawiły się przed zamkiem — swaty. Małgorzata zeszła powitać, ciekawa kto też o Hankę się zgłasza... Ku wielkiemu jednak przerażeniu dowiedziała się od drużby i starosty, że to—o nią idzie.

— Jak śmieliście przestąpić progi mego domu z taką hańbą dla mnie?—krzyknęła ze zgrozą.

— Nie hańba to żadna, gdy młoda wdowa bezpieczeństwo swe w ręce dobrego opiekuna powierza!

— Nie wdową jestem, lecz żoną! za mury z tymi swatami! precz! ani słowa!

— Kobieto!—huknął starosta—swaty to święta dla ludu rzecz! nie obrażaj, nie gróź, stare obyczaje znieważasz!

— Nie liczę się z pogańskim zuchwałstwem, które na samotne niewiasty się targają. Ustąpcie!

— Pożalować możesz tego, Małgorzato z Ziębocina! oblubieniec, w któregośmy sprawie tu z chlebem i miodem przybyli, to—Mścisław!

— Zdradliwy służalec! takich przeciwników się nie lękam.

— A dla czegoż przez krewniaka rozgłaszasz, że mąż umarł... że nie wróci...

— Co on mówi, Zdenku! — wybuchnęła pani.

— Wiesz prawdziwa wydaje owoce... jam temu nie winien...

— Słuchajcie! Jako na niebie Bóg—żyje mój mąż! w wierności dotrwam mu... A ty, co siejeś kłakole kłamstwa, ruszaj teraz do żniwa! precz mi z tymi swatami! oddaję ich twojej rycerskiej dłoni—dodała szydyczko.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Błaszczu“ dołącza się: arkuś 4-ty powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S.

OD WYDAWCY.

„Błaszcz“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus (rysunek).—Ave! (Z cyklu „Madonny Drezdeńskiej“), przez Szczęsną.— Przy kominku. (Pogawędka), przez ??—Sixtina, przez „Leona Płoszowskiego“.—Matka Boska Syxtyńska (rysunek).—Pył. Nowella, przez Aleksandrę Łapińską—Biała baszta, nowella, przez Szczęsną (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkuś 4-ty.—Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiada.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 9 Декабря 1898 г.